

Zdradzi mnie. Głos

Przełożyła Zuzanna Mrozikowa

Wygłądaliśmy podejrzanie. Nie. Wyglądaliśmy bardzo podejrzanie. Drobny, siedmioletni chłopiec, któremu nikt nie dałby więcej niż cztery lata. W granatowej podartej kurtce. I dobrze ubrana czterdziestolatka. Nie babcia i nie mama. Było bardzo zimno. Ulica jeszcze nieodśnieżona. Zimny wiatr rozdmuchiwał śnieg jak kurz na polnej drodze. Staliśmy na przystanku, trzymając się za ręce. Drugą rękę chłopiec schował do kieszeni kurtki. Przyciągaliśmy spojrzenia. Dyskretne, lecz lustrujące od stóp do głów, piekące. Jak policzek. Tak łatwo można by uniknąć tych spojrzeń. Puścić dłoń dziecka, swoją włożyć do kieszeni, stanąć krok dalej, zetrzeć z twarzy troskę, żeby ludzie na przystanku wiedzieli, że nie jesteśmy razem. To nie moja wina, że dziecko jest zaniedbane. Nie jest moje. Chuda twarzyczka, brudna, choć chłopiec mył się przed wyjściem, była sina z zimna. Staliśmy na przystanku, mocno trzymając się za ręce i wiedziałam, że nie puszcę jego dłoni, nawet gdyby zaczęto obrzucać nas kamieniami, nie tylko spojrzeniami.

Jednak ściskając mocno jego małą rączkę, wywołałam poruszenie na przystanku. Skoro trzymam dziecko tak czule, dlaczego jest blade i obdarte? Jeśli jest podrzutkiem, jeśli go nie znam, dlaczego mi ślepo ufa i po co ta cała czułość? Czy nie udaję kogoś innego? Czy dziecko nie jest wykorzystywane? Wtedy, na tamtym przystanku, nie wiedziałam, że biorąc Wasię za rękę na zawsze, nie tylko na dziesięć lat, porzucam przytulny świat. Opuszczam bezpieczną salę wykładową i schodzę w dół. Na samo dno. Gdzie niemal każdy zostaje zniszczony. Wtedy nawet nie przemknęło mi to przez myśl.

Jechaliśmy razem. Do teatru „Lėlė”. Niespodziewanie dostałam telefon z samorządu miasta, że do teatru na spotkanie ze Świętym Mikołajem mogłoby przyjść dwanaścioro dzieci. Zebrać tyle dzieci ulicy w ciągu jednego przedpołudnia było rzeczą niemożliwą. Powiedziałam, że przyprowadzę, ile się uda. Pozostałym przekazemy paczki. Brat Wasi, Artūras, nie chciał z nami jechać. Kilkoro dzieci znaleźliśmy pod dworcem. Po przedstawieniu Święty Mikołaj zaczął rozdawać prezenty. Wyczytywał nazwiska. A po prezenty za każdym razem szedł Wasia. I znów poczułam. Że na nas patrzę...

Na ulicy pojawiły się te dzieci gdzieś około 1993 roku. Bez opieki. Ale jeszcze wracały do domów. Krążyły między budami. Wałęsały się w okolicach dworca. Od świtu do nocy. Jeszcze nie zebrały. Nie umiały. Przed Bożym Narodzeniem dostaliśmy dary. Ubrania i 104 tabliczki czekolady. Wpadałam na pomysł, żeby w poczekalni na dworcu zorganizować dla tych dzieci choinkę. Zwróciliśmy się do działu oświatowego miasta Wilna. Powiedzieliśmy, że zbierzemy je z dworca. Ale może znają więcej adresów. Pracownica w starszym wieku podniosła rękę. I walnęła pięścią w stół.

– Nie pozwolimy, żebyście narobili Litwie wstydu.

Jednak adresy dostaliśmy. Po kilku kolejnych wizytach. Osiemdziesiąt trzy nory. Zafatwiliśmy pozwolenie w biurze dworca kolejowego na zorganizowanie choinki. Na pierwszym piętrze. W poczekalni. A kiedy przyszliśmy z paczkami, orkiestrą i dziećmi – wypędzono nas. No, pewien ktoś. Policjant. Nosił mundur, lecz nie zachowywał się jak stróż porządku. Wrzeszczał, groził, że wystrzela. Dlaczego hałasujemy.

Po choince. Tej samej zimy. Postanowiliśmy zorganizować letni obóz dla dzieci ulicy. Było ich coraz więcej. Wyglądały bardzo ubogo. Grzebały w śmietnikach, szukając pożywienia. Jadły skórki od bananów. Zbierały kartonowe pudła i butelki. Program uruchomiliśmy kilka miesięcy przed wyjazdem na obóz. Chodziliśmy na dworzec dwójkami dwa razy dziennie. Rano i wieczorem. Staraliśmy się krążyć wokół dzieci, żeby zainteresowały się naszymi twarzami. Zachowywaliśmy się bardzo ostrożnie. Nie zaczepialiśmy. Kiedy się zagadnęło, spytało, co tu robią, natychmiast znikaty. I przez kilka kolejnych dni już się w tym miejscu nie pojawiały.

Wiedzieliśmy od początku. Na obóz weźmiemy najmłodsze. Najbardziej zabiedzone. Zrobiliśmy listę dzieci w wieku od czterech do trzynastu lat. Uważaliśmy, że trzeba powiadomić o wyjeździe na obóz rodziców tych dzieci. Poprosiliśmy o adresy. Lukas od razu powiedział:

– Wieźcie, gdzie chcecie. Mnie nikt nie będzie szukał.

Wielu rodziców nie zastaliśmy w domu. Ani wcześniej rano. Ani późnym wieczorem. Rodzice Erikasa mieszkali w hotelu robotniczym i nie wpuścili mnie do środka. Zza drzwi wyłonił się Erikas.

– Mamę boli głowa.

– Powiedz mamie, że przyjdę kiedy indziej. W sobotę.

Erikas ostrzegł. Że go nie puszczą. Razem z młodszym bratem całymi dniami, od rana do nocy, zbierał kartonowe pudła. Potem je sprzedawał. Codziennie musiał przynosić ojczymowi pięć litów. Za utrzymanie. Twarz tego jedenastolatka była pełna zmarszczek. Szara. Pomyślałam, że jeśli rodzice go nie puszczą, zwrócę się do policji.

Kiedy poszukiwania rodziców nie dały wymiernych rezultatów, poprosiliśmy dzieci, żeby przyszły o określonej porze z mamami na schody dworca. Przyszła sąsiadka Sani i Koli. Powiedziała: możecie zabrać.

Przed wyjazdem zaopatrzyliśmy się w lekarstwa. Od świerzbu. Wszy. Do leczenia ropniaków. Wiedzieliśmy, że w ciągu kilku pierwszych dni trzeba będzie surowo ograniczyć jedzenie. Żeby się wygłodzone dzieci nie rozchorowały. Musieliśmy spotykać się z nimi codziennie. Bo nie rozróżniały dni tygodnia. Nie znały się na zegarze. Umówiony dzień – JUTRO. Kiedy obie wskazówki dworcowego zegara będą na górze. Do autobusu przyszło dwadzieścioro sześcioro dzieci. Kilka dziewczynek przyprowadziły kobiety pracujące na wysypisku śmieci. Na wysypisku mieszkała Julia i jej mama.

Przez całą drogę w autobusie panowała śmiertelna cisza. Napięta, sztuczna cisza. Tylko Kęstas Gediminas dodawał sobie odwagi, żartując:

– Jeśli będziecie mnie uczyć czytać, ucieknę.

Jakiś czas potem. Pytamy, dlaczego w autobusie siedzieli tak cicho. Odpowiadają z dziecięcą szczerością:

– Ze strachu. Kto wiedział, co nam zrobicie. Gdzie nas wieziecie. Może na policję?

Była to cisza przed burzą. Obiad jedliśmy w milczeniu. Po obiedzie zrobiliśmy dzieciom gorącą kąpiel w łaźni. Przebiegła bardzo spokojnie. Przebraliśmy je w czyste ubrania. A pod wieczór poszliśmy nad rzekę. Gdzie już wcześniej zostało przygotowane ognisko. Zapłonęło. Spokój eksplodował. Jak bomba atomowa. Zaczęło się. Ślizganie. Skakanie ze skarp. Turlanie. Fikanie koziołków. Popychanie. Przewracanie. Ich szaleńcza zabawa miała w sobie coś przerażającego. Bezwzględne. Okrutne. Dzikie. Byliśmy pewni, że ktoś się poważnie zrani. Albo zabije. Dzieci zupełnie nie umiały na siebie uważać. Nikt ich nie nauczył. Albo już zapomnieli. Nie potrafiły też uważać na innych.

Następnego dnia dzieci zepsuły wszystkie zabawki. Co do jednej. Byliśmy zmuszeni zamknąć na klucz nowoczesne, ekologiczne wychodki, w których zamiast wapna używało się trocin. Dzieci wspinały się po gładkich ścianach na dach. I po nim skakały. Dosłownie. Już pierwszego wieczora cały ułożony przez nas program rozsypał się w drobny mak. Zrozumieliśmy, że jeśli chcemy zachować je przy życiu, całe i zdrowe, musimy zorganizować im wyczerpujące zajęcia fizyczne. Które zużyją ich energię. I uspokoją. W ciągu jednej nocy zmieniliśmy cały program, wymyśliśmy mnóstwo zabaw w terenie. Bieg z przeszkodami. Wspinaczkę na drzewa. Czołganie się w starorzeczu. Oczywiście we wszystkich zawodach sami musieliśmy brać udział. To uspakajało dzieci na kilka godzin. Kiedy my, wciąż ledwo żywi, z trudem powłóczyliśmy nogami, szaleństwa rozpoczęły się z nową siłą. Było oczywiste, że jeszcze kilka takich dni i z naszego domu zostaną tylko połamane deski.

Tylko jeden z zaplanowanych wcześniej punktów programu wychodził. Smarowanie maścią świerzbę i leczenie ropni. Aleksander, stojąc na schodach do domu, poskarżył się z zasmuconą twarzą:

– Ciociu Vando, Deimantè nie posmarowała mi świerzbę.

– Deimantè – zawołałam bez wahania – dlaczego nie posmarowałaś Aleksandra?

– Smarowałam go – dobiegł gdzieś z kąta głos Deimantè.

I Sania uśmiechnęła się szeroko. Pokazując białe, końskie zęby, które mu niedawno wyrosły i wydawały się za duże do drobnej twarzyczki. Był to szeroki, słoneczny uśmiech od ucha do ucha. Bo mnie nabral.

Nagle cały obóz zaczęły boleć ropniaki. Zwłaszcza ropiejące zęby. Niemiłosiernie bolały najmniejsze, ledwo widoczne ranki. Trzeba było smarować zieloną maścią także te miejsca, gdzie nie było nic.

– Czy mam tu skaleczenie? Ale coś tam jest?

To „coś” ciągle bolało. Dzieci zaczęły gorączkować. Prawdopodobnie był to jakiś letni wirus. Temperatura spadała jednak do normalnej, kiedy ktoś dorosły siadał przy łóżku chorego, kładł mu dłoń na czole i po raz kolejny podawał termometr.

Przestaliśmy ograniczać jedzenie. I dzieci ze wzdętymi brzuchami i dużymi, okrągłymi twarzami zaczęły chudnąć. Na początku nie mogliśmy tego zrozumieć. Co się dzieje?

Im więcej jedzą, tym bardziej chudną. W końcu do nas dotarło. Były spuchnięte z głodu. I zaczęły rosnąć. Na naszych oczach. Każdego dnia. I po każdej nocy. Jak ozimina. Wszystkie były wyraźnie za niskie. Wasia i Aleksander mierzyli połowę tego, co powinni w swoim wieku. Zaokrągliła się pokryta zmarszczkami twarz Erikasa o wystających kościach policzkowych. Odzyskała dziecienny wyraz.

Dzieci naprawdę były syte. Jednak od rana do wieczora słyszeliśmy to samo:

– Czy dziś będzie jeszcze obiad?

Nawet w trakcie obiadu pytały:

– A kiedy znów będzie obiad?

Na mieście jadły raz dziennie. Pewnego dnia umówiliśmy się, że pozwolimy im jeść tyle, ile chcą. Tak dużo, żeby nie musiały pytać. Niektóre zatrzymały się na piątym talerzu gęstej, pełnej warzyw i mięsa zupy. Inne po zjedzeniu siedmiu talerzy. I czterech bochenków chleba. Nawet o dwunastej w nocy – wbrew regulaminowi – zniknęło kilka bochenków.

Dzieci przywozły na obóz swoje zasady. Chcąc choć trochę im pomóc, musieliśmy się dostosować. Nie widzieliśmy innego wyjścia. Wiedzieliśmy, że po obozie znów puścimy je na ulice. Wszystko było dla nas nowe. Wszystkie dzieci paliły. Wyzaczyliśmy miejsce do palenia. Żeby nie podpaliły lasu. Tylko tyle udało się nam osiągnąć. Zmniejszyć dzienną normę. Od paczki dziennie. Do czterech papierosów. Odwróciliśmy do góry nogami obozową dobę. Nasze życie toczyło się nocą. Spaliśmy w dzień. Kładliśmy się do łóżek o świcie, po nocy spędzonej przy ognisku. Liczyliśmy gwiazdy na niebie.

– Jak umrzemy, to pewnie tam, w górze będziemy chodzić nago – powiedział Dima.

– No przestań – wyśmiał go Kęstas – W białych garniturach!

Przed całkowitym chaosem ratowała nas zwykła domowa zasada: na obozie można wszystko, tylko trzeba zapytać. Był to najprostszy sposób, żeby się dowiedzieć, czego dzieci pragną. I pomóc im w utrzymaniu porządku.

A preparat na wszy stał nietknięty. W rzędach identycznych buteleczek. Ukrytych na zimnym, większym piecu chlebowym. W bezpiecznym kącie. Zaraz po przyjeździe wykąpaliliśmy dzieci w gorącej łaźni, sztywne od brudu ubrania zostały spalone, więc widzieliśmy. Że nie na próżno braliśmy buteleczki. Nasze relacje z dziećmi były jednak bardzo kruche. Nie śmieliśmy powiedzieć. A teraz sprawdzimy wam głowy. To uwłaczałoby ich ludzką godność. Wystarczyłby jeden fałszywy ruch, a nasi podopieczni zniknęliby w lesie, ulotnili się jak kamfora.

Na początku ciągle uciekali. Pierwszy uciekł chyba Stasiukas. Przywieźli go z powrotem ludzie zbierający w lesie jagody. Nagle wybuchła prawdziwa epidemia ucieczek. Uciekali trójkami. Biegaliśmy złani potem we wszystkich kierunkach. Przeczesywaliśmy las samochodem. To się dzieciom niesamowicie podobało. Epidemia szalała. Byliśmy u kresu sił, kiedy Joruné powiedziała:

– Uciekają, bo ich szukamy. Nie szukajmy, to przestaną.

I rzeczywiście. Wstrzymaliśmy pogoń na pół dnia i epidemia wygasła, jak ręką odjął.

Byliśmy tak wycieńczeni sztafetami, włożeniem na drzewa, czołganiem się, wyścigami. Do tego uciekinierami. Sprawa wszy nie wydawała nam się szczególnie ważna. Póki nie poczuliśmy, że i na nasze głowy wprowadzili się nowi lokatorzy. Nikogo to nie ucieszyło. Ale zostaliśmy wybawieni z krępującej sytuacji. Teraz śmiało mogliśmy powiedzieć:

– Dzieci, mamy we włosach wszy. A jak wasze głowy?

Zrobiło się zamieszanie. Dziewczynki zaczęły wskazywać Julię. To ona, ona. Julia nas zaraziła. Julia mieszkała z mamą na wysypisku. Siedziałam obok niej na stołówce i widziałam, że ma na głowie żywą, ruszającą się skorupę, nie pojedyncze wszy. Nie można było dłużej się ociągać i odkładać zabiegu. Wtarliśmy we włosy swoje i dziewczynkę środek przeciw wszom. Potem zabraliśmy się za strzyżenie chłopców. Najpierw nożyczkami, potem brzytwami – nie mieliśmy maszynek elektrycznych. Dzieci niespodziewanie się wyciszyły. Zrobiły łagodne jak baranki. Ostrzyżeni chłopcy chodzili w kółko, gładząc się po głowach i prosili, żeby ich jeszcze raz sprawdzić. Pochylali głowy, zbliżając do naszych dłoni swoje króciutkie języki. Żebyśmy ich jeszcze raz dotknęli.

Skóra na głowie Tadasa była po strzyżeniu w kilku miejscach zacięta. Parę razy przychodził do mnie z tą głową. Krzywo ogoloną. Wielką, kłującą. Głaskałam go po potylicy, powtarzając:

– Już nic tu nie ma, masz czystą głowę.

Matczyna troskliwość, jakiej nigdy nie doświadczyły albo już nie pamiętały, zamieniała te dzikie zwierzątka w najłagodniejsze na świecie istoty. Troskliwość jest zasadniczą cechą miłości. Nie da się jej z niczym pomylić, niczym zastąpić. Tam, gdzie jej brak, nie można mówić nawet o cieniu miłości. W takich chwilach serce rośnie. Ach, jakie jasne i zwykłe stawały się myśli.

Następnego dnia na śniadanie nie przyszło ani jedno dziecko. Zapraszane do stołu nie wychodziły z namiotów. Kłęły. Pluły. Popychały się. Kiedy próbowaliśmy je łapać, uciekały we wszystkich kierunkach. Udawały, że pakują rzeczy. Tylko – co one tam ze sobą miały. Zachowywały się prowokacyjnie, niegrzecznie, okrutnie. Kęstas połamał fisharmonię, oczywiście niechcący. Ale wyłamane deski gdzieś ukrył. Bez nich nie mogliśmy naprawić instrumentu. Koniecznie trzeba je było odzyskać. Zresztą na początku nie wiedzieliśmy, ani kto zniszczył fisharmonię, ani gdzie są deski. Byliśmy bezradni, nie wiedzieliśmy czego się chwycić i... wymyśliliśmy apel karny. Pamiętaliśmy takie apele z obozów pionierskich. Nic lepszego nie przyszło nam do głowy. Zupełnie nie byliśmy przygotowani, żeby ich karać. A tu trzeba było odzyskać deski.

Przygotowując program obozu, ustaliliśmy, że wszyscy oprócz mnie będą traktować dzieci jak kolegów. Miałam wejść w rolę surowego ojca. Wymagać od dzieci przestrzegania jasnych i zdrowych zasad. Bez entuzjazmu wzięłam na siebie ten obowiązek. Kiedy pouczam dzieci, swoje czy cudze, często chce mi się śmiać. Ale innych chętnych nie było. Chodzenie z groźną miną nikomu nie wydawało się atrakcyjne. Baliśmy się jednak, że bez „twardej ręki”, choćby tylko jednej, nie utrzymamy na obozie dyscypliny.

Ściemniało się, kiedy po koszmarnym dniu, histerycznych scenach, zniszczeniu fisharmonii, zarządziliśmy zbiórkę w dwuszeregu. Powiedziałam kilka słów o nieodpowiednim

zachowaniu. Potrzebne są nam te deski. I zaproponowałam, żeby winny się przyznał. Będziemy stać tak długo, aż ktoś się przyzna. Cisza trwała piętnaście minut. Musztra była dla dzieci wielką nowością, ze zdziwienia stały spokojnie, nie przepychały się i nie kłęły. Mieliśmy piętnaście minut odpoczynku. Był już późny wieczór. Tak, pora ich największej aktywności. Wszystkie te dzieci były nocnymi markami. Musiałam być surowa, żeby się za chwilę nie rozbiegły. Byliśmy załamani. Ich zezwierzęceniem. Nie da się tu użyć innego słowa. I wszystko to działo się nazajutrz po takim dobrym dniu! Czuliśmy się zmęczeni, wypaleni, pokonani. Zrozumieliśmy, że zadanie nas przerasta. Że tym dzieciom nikt nie może pomóc. Nasze najszlachetniejsze wysiłki wdeptane w błoto. Kęstas wciąż się nie przyznawał. I wtedy ktoś krzyknął w ciemności:

- Dlaczego nie pozwalacie nam wyjechać?
- A macie dokąd jechać?
- Nie chcemy już tu być.
- Dlaczego?
- Dlatego, że dają wam pieniądze za nasz pobyt.
- Jakie pieniądze?
- Czym dłużej będziemy, tym więcej dostaniecie.

Wszyscy byliśmy wolontariuszami i pracowaliśmy bez wynagrodzenia.

Teraz już nie udawałam, że jestem zła. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że bez wahania powiedziałam:

– Dobra. Jutro zamówimy autobus i jedźcie sobie, gdzie chcecie. Nawet do diabła. Ale dziś musimy odzyskać deski.

- Ja nie chcący, nie chciałem... – w ciemności nie było widać, które dziecko płacze.
 - A gdzie deski?
 - W fisharmonii. Wsadziłem do środka.
 - Autobus będzie jutro o trzeciej.
- I rozeszliśmy się do namiotów.

Rano dzieci jęły śniadanie ze spuszczonej głowami. Niektóre zaraz po posiłku zerwały się od stołu i poszły pakować. Erikas poszedł z nimi, ale przekonywał:

- Głupi jesteście, głupi. Tak was ciągnie na dworzec? Tu jest las, jagody, jedzenie.

Inne dalej siedziały przy stole, nie podnosząc oczu. Nie wyglądało, żeby chciały jak najprędzej opuścić obóz. Nie namawialiśmy. Nie widzieliśmy sensu. Gdybyśmy namawiali, nie moglibyśmy stawiać im nawet niewielkich wymagań. Bez których wspólne obcowanie jest niemożliwe. Nasz plan upadł, nie ma wyjścia, musimy się z tym pogodzić.

Choć serce się krajało, kiedy człowiek patrzył na te dzieci. Mimo wszystko trzymałam się ustaleń. Zapytałam tylko:

- Skąd ten pomysł, że dostajemy pieniądze za pracę z wami?
- Tadas nam powiedział.

Boże, Tadas! To jego kłującą głowę głaskałam wczoraj kilka razy. Musiało minąć kilka lat, bym zrozumiała przyczynę ich agresji. Zraniła ich nasza troskliwość. Upokorzyła nasza miłość. Dotknęliśmy rany, która boli tak bardzo, że trzeba się bronić.

Choćby zabijając. Przez te wszystkie lata dzieci cały czas nas sprawdzały. Mają swoje sposoby. Okrutne. Kiedy chcą się dowiedzieć, czy rzeczywiście komuś na nich zależy, są gotowe na wszystko. Czasem może to być nóż w plecy. Jeśli zobaczą, że ktoś jest słaby, że szuka własnej korzyści.

Dzień wyjazdu mimo to został odłożony. W końcu jednak i tak nadszedł. Podszty milczącym, skrywanym przerażeniem. Nie okazywaliśmy go. Wiedzieliśmy, tak samo jak dzieci, że musimy zawieźć je do miasta i zostawić na ulicy. Kupiliśmy cukierki i herbatniki. Dużo. Żeby starczyło na całą drogę. Odwoziliśmy dzieci we dwie z Vidą. Pożegnanie odbyło się bez słów. Wsiadliśmy do autobusu. Wolontariusze, którzy zostali, żeby uprzątnąć obozowisko, machali nam na pożegnanie. Dzieciom na pożegnanie. Nie mogą sobie przypomnieć, czy dzieci również machały. Siedziały grzecznie na swoich miejscach i zaraz zaczęłyśmy z Vidą rozdawać słodycze. Wkładaliśmy je dzieciom do rąk, ale żadne ich nie tknęło. Na obozie ciastka i cukierki – nie mieliśmy ich zbyt dużo – były natychmiast pożerane. Znikały w błyskawicznym tempie. Za cmentarzem autobus skręcił w las, skąd nie było już widać obozu. I wtedy cisza eksplodowała. Pierwszy zawył czteroletni Rusłan. Jego otwarta, wypełniona słodyczami dłoń sterczała, jakby była z drewna. Ryczał straszonym głosem:

– Aaaa!... Aaaa!...

W następnej chwili rozdzierający płacz ogarnął cały autobus.

Wiem, że nigdy więcej nie usłyszę podobnego płaczu. Następnego roku po obozie dzieci wracały do miasta w ciszy, trochę pochlipując. Znały już życie, znały swój los i zachowywały się odpowiednio. Teraz jednak krzyczały przeraźliwie, z całego serca. Z bezpiecznego, spokojnego zakątka wracały na dworzec w Wilnie. Otworzyliśmy im oczy na ich nieszczęście, którego przecież miały świadomość, lecz przedtem nie była ona tak bolesna. Kierowca nie wytrzymał. Rozkręcił radio na cały regulator. Ale muzyki nie było słychać. Dopiero po godzinie, gdzieś pod Mejszagotą wrzask ustał, słychać było już tylko ciche łkania. Wtedy dosłyszeliśmy radio. Banalne piosenki disco. Zaczęliśmy ich słuchać niemal z radością. Wkrótce naszym oczom ukazało się miasto i dzieci się otrząsnęły. Były teraz dziwnie, nienaturalnie wesole, jakby sobie na złość, na przekór. Wtedy właśnie. Z radiomagnetofonu popłynęła ta piosenka. Hit. Który całymi dniami leciał przy jednej z bud pod dworcem. Rosyjski przebój. W jednej chwili dzieci, jak na komendę, podchwyciły znajomą melodię:

Ja moriaczka, ty moriak.

Ja rybaczka, ty rybak.

Ja na susze, ty na morie.

My nie wstretimsia nikak¹.

Była to piosenka o nas.

¹ [z ros.] Jestem żeglarką, a ty żeglarzem./ Jestem rybaczką, a ty rybakiem./ Jestem na lądzie, a ty na morzu./ Nie mamy jak się spotkać (tłum. Z. Mrozikowa).

*Ja na susze, ty na morie,
My nie wstretimsia nikak.*

Autobus sunął w dół Wiłkomirską, a dzieci śpiewały razem z radiem, klaszcząc w dłonie i wrzeszcząc na całe gardło, aż drżał autobus. Kiedy jechaliśmy Krasnuchą, zapytałam Erikasa i Wasię:

– Wsiadacie?

Przejeżdżaliśmy obok ich domu.

Burknęli ponuro:

– Na dworzec!

Zapisać im numery swoich telefonów. Dzieci, jeśli was spotka jakieś nieszczęście, dzwońcie. Tadas odwrócił głowę i przeszył mnie szyderczym spojrzeniem. Zrozumiałam, że przemawiam z łądu do morza. Jakie nieszczęście mogło ich jeszcze spotkać? Coś gorszego od wyrzucenia jak śmieci na ulicę, na pastwę losu?

Wróciłam do domu i w ubraniu położyłam się do łóżka. Dostałam gorączki i przez trzy dni nie miałam siły wstać, choć na miejscu obozu było jeszcze dużo pracy.

*

Tego samego dnia. Po obiedzie. Przyjechała następna komisja. Sanitarno-epidemiologiczna. Dwie kobiety. Z Oniksz. Przedstawiły się i bardzo grzecznie rozmawiały. Na koniec poprosiły, żeby jeszcze dziś przerwać pracę. I zakończyć obóz.

– Ale przecież nie mamy żadnych problemów sanitarnych.

– Nie macie państwo książeczki rejestracyjnej obozu.

– A co to jest?

– Książeczka z naszymi podpisami.

– Jaka książeczka?

– Że pozwalamy wam pracować.

– Od lat organizujemy w tym miejscu obozy. Nikt nigdy nie chciał od nas żadnej książeczki.

Rozmawialiśmy spokojnie. Uzgodniłyśmy, że pozwolą nam dokończyć program. Do wyjazdu dzieci pozostały jakieś cztery dni.

W niedzielę odwiedził nas proboszcz. Czasami zapraszaliśmy go do dzieci. Wyjaśniał im ewangelię, opowiadając o królikach, kurczakach i nutriach.

– Mam dla was nowiny.

– Też mamy złe nowiny.

Pokiwał głową.

– Wydzwaniamą. Pytają, skąd się tu wzięliście. Kto was wpuścił.

– Przecież ksiądz wie, że mamy umowę wynajmu z diecezją.

– Mówiłem im.

– I co?

– Atakują was.

– Za co?

Komisja wymieniła we wniosku takie wykroczenia. W namiocie na jedno dziecko nie przypada 5 metrów kwadratowych. Chcę powiedzieć, że dzieci nocowały w tunelach ciepłowniczych i kontenerach na śmieci. Tam metrów kwadratowych jest jeszcze mniej. Na terenie obozu nie ma ciepłej, bieżącej wody. Mieliśmy studnię. Zimny prysznic. Łażnię. Rzekę. Poważnym wykroczeniem była lista dzieci. Którą zrobił ktoś inny. Największe przestępstwo popełniłam ja. Choć Gytis mnie ostrzegał. Nazwałam uczniów i studentów, którzy zgłosili się do pomocy, grupą roboczą. Zamiast uczestnikami obozu. Musiałam zapłacić karę trzech tysięcy litów. Z własnego, balansującego na granicy ubóstwa, domowego budżetu.

Wtrącił się minister Kornelijus Platelis. Obóz finansowało Ministerstwo Oświaty. Że nie ma żadnej nieprawidłowości. Tylko niefortunne sformułowanie. W naszej obronie wystąpiła główna księgową. Powiedziała, że jesteśmy jedyną organizacją, która ma porządek w dokumentach. Zakrzyczeli ją. Nie dali dojść do słowa. Dlaczego? Szantaż trwał trzy lata. Na początku roku: płacicie karę. Pod koniec roku: może umorzmy.

Uznałam, że popełniłam błąd. Uznałam, że to się nigdy nie skończy. Póki się nie wycofam. Człowiek jest kruchą istotą. Póki nie zerwę kontaktu. Z Wasią. Z Aloszą. Całkowicie. Na zawsze. Zacisnęłam zęby.

Nie wtajemniczałam dzieci w swoje kłopoty. Lecz ten, kogo zdradzili najbliżsi. Wie. Nie trzeba mu mówić. Przestał dzwonić telefon. Nawet w noc sylwestrową. Po dwunastej.

– Tu Raimondas, Szczęśliwego Nowego Roku!

– Tu Sania, ciociu Vando, Szczęśliwego Nowego Roku!

– Tu Sergiusz...

– Jaki Sergiusz?

– Powiedziała pani, że mnie weźmie na obóz. Nie pamięta pani?

Już nie dzwoni. Skończyły się małe prezenty. Misie. Krokodyle. Laleczki. Rysunki. Pocztówki. Kęstas napisał życzenia na kartce wyrwanej z podręcznika: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”. Podarki od dzieci przywoził najczęściej Alosza. Między naszymi urodzinami były dwa tygodnie. Obchodziliśmy je razem. Przyjeżdżał z młodszym bratem Jurą. Na powitanie zawsze mnie całowali. Po dziecięcemu. Jak mamę.

Nie potrzebuję. Zabarykadowałam serce. Nauczyłam się nie widzieć dzieci na ulicy. Nie zagadywać. Nie poznawać. Nie dawać centów. Zmarła mama Oleny. Żenia i Olena gdzieś znikli. Z powierzchni ziemi znikła też rudera, w której mieszkali. Oboje chorowali na gruźlicę. Żenia płuc. Olena kości. Dzwonili ze szpitala. Skończyło się. Tylko na dyskiectce po lewej stronie piersi zapisał się ich głos.

– Ciociu, no daj kanapkę.

– Nie, Żenia. Musisz poczekać do obiadu.

– No daj, tylko jedną, proszę.

– Dałam ci przed chwilę.

– No ciociu, jeszcze jedną. No, ostatnią!

Na obozie Olena odszukała mnie przy prysznicach.

– W nocy zdarza mi się nieszczęście. Dałaby mi pani podpaskę. Żebym nie pobrudziła pościeli.

– Zaraz ci dam. Dziękuję, Oleno, że powiedziałaś.

Matka Oleny dzwoniła do mnie kilka razy. Z pretensjami. Że za mało mają opieki. Jej dzieci.

Chłopcy rozsypali się po więzieniach. Tadas, Tomas, Raimondas, Aurimas. Albo zakładach poprawczych. Pierwszy trafił tam Dailius. Dziesięcioletek. Na ulicę wyszedł jako czteroletnie dziecko. Ojciec zaczął biznes i zbankrutował. Ukrywał się przed wierzycielami. W końcu wyjechał do Rosji. Mieszkanie poszło pod młotek. Matka z dwójką dzieci znalazła się na ulicy. Mała miała kilka miesięcy. Dailius utrzymywał je przez kilka lat. Żebrząc. Na początku wszystkie dzieci przynosiły do domu pieniądze. Potem przestawały. Mówiły:

– Chleb kupujemy. Ale pieniędzy nie dajemy.

Jakby rodzice byli ich dziećmi.

Z zakładów poprawczych i domów dziecka przywędrował do obozu dziwny zwyczaj. Dzieci zabierały z talerza kanapki i trzymały blisko siebie, osłaniając je ręką. Namawialiśmy, żeby tak nie robiły. Że dostaną, ile będą chciały. Jeśli zabraknie, dorobimy. Niech leżą na talerzu. Wciąż widzę łokieć Koli. Osłonę z ramienia. To jego przyprowadziła sąsiadka. Na schody dworca. Powiedziała: możecie zabrać. Sanię i Kolę. Na tym pierwszym obozie bracia cały czas trzymali się razem. Chodzili za rękę. Szukali się i brali za rękę. Kola był bardzo wrażliwy. Płakał, kiedy dzieci go drażniły. Przybiegał na skargę. Że się biją. Po obozie bracia nie wrócili do domu. Zamieszkali na ulicy i ulica ich rozdzieliła. W ciągu jednego roku. Okrutna walka o przetrwanie. Kola pierwszy. Tak sądziliśmy. Był wykorzystywany seksualnie. Przyjeżdżał do nas co roku. Ze świerzbem. Wszami. Nawet wtedy, kiedy w Wilnie były już miejsca, gdzie bezdomni mogli się wykąpać i wymienić ubranie. Jego ubóstwo. Nieszczęście. Było tak wielkie.

Kola powiesił się. Dzwonił od czasu do czasu. Z tuneli ciepłowniczych. Miał osiemnaście lat.

Dalsze losy dzieci Gytis śledził sam. Chodził do poprawczaków. Do więzień. Zaczął pracować z młodzieżą z wyrokami. Był uparty. Znosił upokorzenia. Wymyślił centrum rehabilitacji. Jako alternatywę dla więzienia. Gdzieś na uboczu. Ze zwierzętami, domowymi, hodowlanymi. Żeby dzieci uczyły się wchodzić w relacje. Przez kontakt ze zwierzętami. Z innymi ludźmi. I ze sobą. W Inkunach przekonaliśmy się, że na zranienia społeczne jest tylko jedno lekarstwo. Relacja z drugim człowiekiem. Projekt Gytisa wsparła ambasada Danii. I ani jedna litewska instytucja. To go nie powstrzymało. Zawahał się, kiedy Mindaugas okradł Tomasa. Tomas był przyjacielem Gytisa. Stracił wzrok na pierwszym roku studiów. Wspólnie się uczyli i pracowali. Mindaugas odwiedził Tomasa dwa razy. Za trzecim, wychodząc, zabrał telefon komórkowy. Policja przyprowadziła Mindaugasa na wizję lokalną. Nie wypowiedział ani słowa. Pokazał palcem. Gdzie był telefon. Skąd go zabrał. Nie zapomniał. Wiedział. Póki milczy, dla niewidomego Tomasa – nie ma go.

Pewnego lata Gytis musiał wyjechać. Zostałam sama z pięcioma dryblasami. Którzy popełnili przestępstwa. Graliśmy w kwadrat. Przewracając się ze śmiechu. Robiliśmy placki z cukinii. Żenia „uczył” mnie smażyć na dwie patelnie. I nie tylko. Potrafił, potrąsając patelnię, w powietrzu obracać placki na drugą stronę. Mnie się to nie udało. W domu dziecka przez półtora roku nikt go nie odwiedził. Wychowawcy nie brali go na obóz z powodu „okropnego zachowania”. Opowiedział mi o sobie wszystko. O ojcu alkoholiku. Zmarłej mamie. Dwóch dorosłych siostrach. I jak ukradł sąsiadom dwie blaszki z ciastem. Prosto z piekarnika. Nie uwierzyłam.

– Przecież były gorące.

– Zrobiłem tak – odwrócił kieszenie koszuli na lewą stronę.

Takie było jego dzieciństwo. Innego nie miał.

Pewnego dnia poszliśmy na jeżyny. Sania, Żenia i ja. Wszystkie krzaki w okolicy były już przez nas oskubane. Przeszliśmy z pięć kilometrów. Usiedliśmy na wzgórzu. Rozmawiamy. Nagle ktoś zauważył, że echo powtarza nasze słowa.

– Hop, hop, ciociu Vando!

– Hop, hop, Żenia!

– Sania!

– Jest tam kto?

– Hop, hop! Gdzie jesteś?

– Przynieś lody!

Sania zabębnił dłońmi o piaszczystą ziemię i nagle wstał.

– Jestem niewinny!

Drgnęłam. Ale z wąwozu już wracało do nas echo jego słów.

Żenia powtórzył te same słowa. Przewodniczący samorządu szkolnego pewnie znów by mi nie uwierzył.

– Jestem niewinny!

Nie zrezygnowaliśmy z marzenia o centrum rehabilitacji. Alternatywy dla więzienia. Może ktoś zechce nam pomóc. Żeby dzieci, które popełniły przestępstwo, miały możliwość wyboru. Te, które będą chciały uchwycić się życia. Jak mały Mindaugas. Trudno o nich zapomnieć.

Choć Gytis mówi: nasze dzieci były ofiarami ubóstwa. Teraz spotykamy się z czymś, co jest w człowieku naprawdę złe. Racja. Coraz częściej słyszymy o przemocy wśród dzieci. O ich przerażającym okrucieństwie. Nie chcę niczego upraszczać. Wiem. Lecz matka we mnie. Ta, na którą się zaklinali. Mówi. To nieadekwatne. Wykolejone. Lecz mimo wszystko. Wołanie o pomoc.



Mariusz Rutkowski, *Praca na wsi polskiej 10*, Facebook „Mariusz robi zdjęcia”